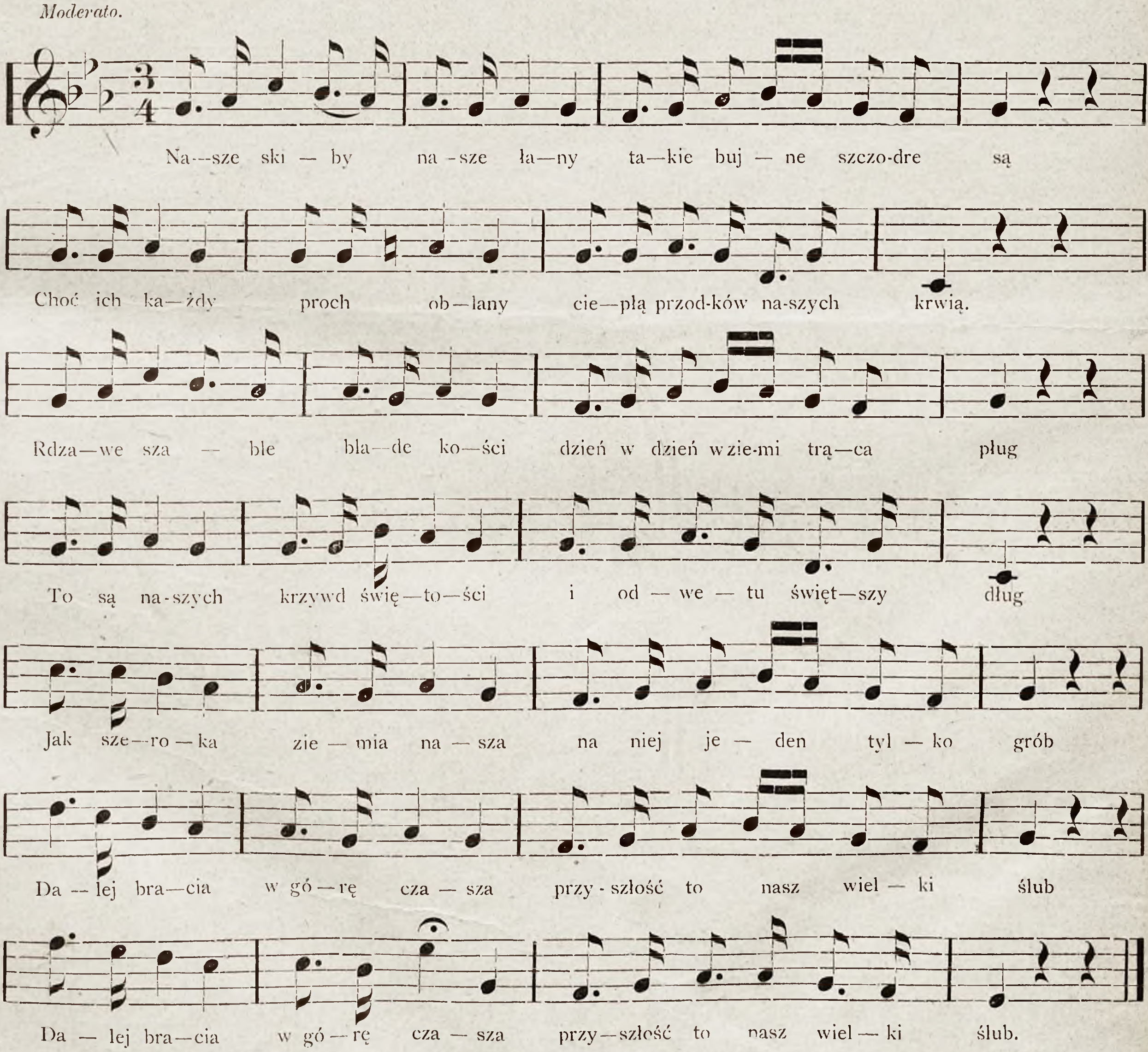
Nr. 3. We Lwowie dnia 21. stycznia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z pieśni powstańczych*)



*) Trzy pierwsze strofy tego śpiewu napisane w zimie 1860 roku dla studentów Akademji Medycznej w Warszawie. Dwie następne dodane po wypadkach Lutowych 1861 r. — Śpiew ten wraz z muzyką wyszedł w Warszawie 1861 roku z podpisem: w Metz.

Albośmy to jacy tacy,
By w rozpaczy śnić i gnić?
Do nauki i do pracy!
A będziemy jeszcze żyć.
Kto tej ziemi lepszym synem:
Czy ten, co wciąż płacze strat,
Czy ten, co choć drobnym czynem
O jej życiu daje ślad?

Jak szeroka ziemia nasza,
Na niej jeden tylko grób —
Dalej — bracia — w górę czasza!
Przyszłość — to nasz wielki ślub.

Módlmy się do Boga w niebie,
By nam świętą łaskę zlał,
Ale wierzmy także w siebie,
Bo Bóg na to rozum dał.
A więc z hasłem tem na czele,
Żeśmy wszyscy jeden lud,
Kiedy cierpieć, cierpieć wiele,
Lecz i wiele zdziałać wprzód.

Jak szeroka ziemia nasza,
Na niej jeden tylko grób —
Dalej — bracia — w górę czasza!
Przyszłość to nasz wielki ślub.

Tak śpiewaliśmy przed rokiem,
Nim nastały próby dnie,
Dziś ten śpiew przed naszem okiem
Ożył — i wypełnia się.
Już zbratała nas rzeź krwawa,
Pierś bezbronna w gradzie kul,
Już brzmi w świecie dawna sława
I męczeński, świeży ból.

Jak szeroka ziemia nasza,
Na niej jeden tylko grób —
Dalej — bracia — w górę czasza!
Przyszłość — to nasz wielki ślub.

Przesąd, co nas w dawnych latach
Dzielił, jeśli pierzchł jak snem,
I lud w miastach, i lud w chatach
Chcemy wznieść wolności tchem.
Próżno nęka nas w czczej pysze,
Niechaj drży nikczemny wróg!
Tylko zgodnie — towarzysze —
I wytrwale — z nami Bóg!

Jak szeroka ziemia nasza,
Na niej jeden tylko grób —
Gdy krzykniemy: „do pałasza!“
To spełnimy wielki ślub.

WŁADYSŁAW ORKAN:

Błażkowa Łysina

(Dokończenie)

— Bolą cię nożeczki — mówiła do Łysiny— bolą... hm, mocny Boże! Co ja ci poradzę? I mnie haw nie bardzo letko iść, a muszę... nic nie pomoże! Darmo. Tak już trzeba tę biedę nosić po tej smutnej ziemi, na wieki wieków... Łysince lepiej, niż mnie, bo przecie obuta. Racice się nie zedrą. A mnie się kerpce zdarły do znaku i nie ma za co kupić... Tak. Trzebaby soli nie kupować bez dwa jarmarki. Musiałaby się Łysinka obejść niesłoną wodą. To lepiej niech już ja boskem chodzę... na wieki wieków! — rzucała na bok, gdy kto przed nią idący pochwalił Boga i gnała dalej na ugory— Kanyż ty idziesz? — pytała się Łysiny — kanyż ty idziesz? Tam trawy nie uskubnie, szkoda nawet zębów... Wróć-no się, wróć!

I Łysina się wracała chętnie i szła powoli przed nią na popas. Wiedziała, że ją Błażkowa na tłok nie zażenie, gdzie ino osty same i skale. Ona tam codzień coś nowego wynajdzie, kany jeszcze nie bywały dawniej. Nie omyliły ją przeczucia krowie i tą razą.

— Pudziemy se na miedzę — mówiła Błażkowa — do jednostronki. Tam jeszcze nikt nie wypasł, trawa miękkusieńka... Bedzie Łysinka mieć uciechę, ino trza słuchać! Tędy iść, którędy ja powiem, bo tam ciasno, nie wiem, jak się obydwie zmieścimy... Pamiętasz? ale toś nie ty była, nie ty, ino ta kupna, co my ją przedali łońskiego roku na jadwencie. Uwodziła mię też po tej miedzy, uwodziła! że mię haw krzyże bez całuteńką zimę bolały... To był smok, nie krowa, judasz cygański! Przedali my ją za to na mięso. Niech ma. Tybyś mie tak nie ukrzywdziła... co to przytykać! No, no, nie markoć, żech cię posądziła niechcący... Na

prawo, tu, koło płotu! Kanyż tam idziesz? Ozgniewała się wicie na piekne... moja Łysinko! moja! cacana Łysinko! Udobruchała się przecię — no, chwałaż Bogu...

Zaszły obie do jednostronki, przelazły bez płot, naprzód Łysina, za nią Błażkowa, poganiając.

— Paś-że się, paś... Ino zboża nie skub, skoro trawy masz dość. Usłuchnij, bo ci na złe nie chcę.

Ale Łysina słuchała jednem uchem, przyskubując zboża dla omasty — i nie dziw! Samą trawą nie wyżyje, choćby i słodziuteńką, bo się przyje. Przy jednej sperce i kot zdechnie, każdy wie o tem.

— Ludzie patrzą, bój się Boga — mówiła Błażkowa. — Uw zuj na się... i na mnie uwazuj przecie, bo jak dojrzą, to bedzie piekło. Co ja już „djabłów“ skrony ciebie zjadła, to ani, ani!... Paś-że się, paś. Zawiedłach cię do największej trawy. Jeszcze ci mało? Trza się hamować, moja ty, nie odrazu chcieć, co ino oczy widzą. Bo każby się uczciwość podziała? Tak moja Łysinko, tak. Jak się ma dość wszystkiego i można być uczciwym na świecie, to czemu nie być? Insze, jak bieda zmusza... mocny Boże! Jak ono też i z nami bedzie na tamtym świecie?... Paś-że się, paś... Darmo nie pozieraj ku chałupie, bo jeszcze daleko do połednia. Widzisz, kany to słoneczko na niebie, kany to cień... Daremno z tobą gadać, boś nieusłuchliwa.

Gadała jednak wciąż. Łysina jadła trawę, zachwytując zboża i schodził czas, cień się umniejszał co godzinę, aż nareszcie i południe nadeszło.

— Trza-by gnać.. Kto wie, czy Maryna uskrobała ziemniaków na obiad... Ale ba! Zabaczyłach se doznaku ostawić kluczy. Co oni ta bedą jeść?... i mleko w skrzyni... E, bedę im ta dogadzać! To, to! Jeszcze by się zwydrzyli. Niech się raz przeposzczą! Nie zawadzi... paś-że się, paś... o ratunecku! Jak my to starasiły to zboże. Ale niech ta! Nikt nie zauważył, nie nasze. Może już i pudziemy do chałupy?... Jeszcze ci mało? To jedz, ino mleka nie żałuj! Bo już tak skrupulatnie udzielasz, jak pasierbicy... Wstydziłabyć się przecie! Na taką paszę, jaką ty masz, insza by, na ten przykład, dała ze dwa skopce... okopiusieńkie! ale „na ten przykład“ mówię — to się nie markoć. Moja Łysinko! moja! cacana Łysinko! Paś-że się paś...

Łysinie się już boki zaokrągliły, nie było gdzie kłaść. Z oszczędności jednak łykała dalej trawę, przegryzioną w pół. Bo kto wie, co jutro może wypaść? Zawdy i na przyszłość trza mieć wzgląd.

Daleko słońce przechyliło się od południa, kiedy Błażkowa gnała krowę na dół w osiedle. Rada była bardzo, że się Łysina tak napasła. Aż jej się oczy śmiały z daleka. Zbaczyła sobie wreszcie, ujrzawszy dymy nad osiedlem, że sama jest bez obiadu.

— A niech ta! Łysina się za to napasła.

W chałupie wyczekują pewnie z utęsknieniem, rychło powróci. Może i, wycieńczeni, wyzierają oknem...

— Niech patrzą! Bedą widzieć, jak się Łysina napasła.

Przygnała ją do osiedla.

— Czemu tak lecisz? Ja cię nie dogonię, bo, widzisz, skóra się poodbijała na piętach i... pomału-że, zaczkaj mie... chce si się pić? kto wie, czy ta „suka“ przystroiła wody?... No, lećże, leć!

Łysina się pospieszyła, widząc oborę. A Błażkowa szła za nią przez osiedle, kulejąc na obie nogi — na palcach szła...

I gadała sobie dalej, co Łysinie miała opowiedzieć. Wiecznie gadała.

Błażkową była od ślubu — Łysina zaś od urodzenia Błażkowa była. Zdały się ku sobie, jak to mówią, i nie cnęło im się razem nigdy przenigdy.

Wyodrębnienie Galicji.

II.

Wyodrębnienie Galicji i prawo państwowe Czech

Pamiętna rezolucja sejmowa 1868 r., żądająca częściowego wyodrębnienia Galicji, nie została uwzględnioną. Smolka domagał się energicznej opozycji, nieobsyłania parlamentu, ale został opuszczony nawet przez dawnych towarzyszy jak Ziemiałkowski. Polacy uzyskują

w Galicji pewne koncesje narodowe na drodze rozporządzeń administracyjnych. „Przegląd polski“ i „Czas“ skomenderowali do odwrotu. Klika stańczykowska potrzebuje poparcia rządu i popierać więc musi każdy rząd. Koło polskie jest stronnictwem pseudo-autonomicznem. Za wyjątkiem broszury hr. Wojciecha Dzieduszyckiego z 1897 r. nie spotykamy ani razu sformułowanych żądań zmiany stosunku Galicji do Austrji lub wogóle zmiany kompetencji sejmów. W broszurze hr. W. Dzieduszyckiego widzimy tylko jedną chęć zamknięcia dla demokratycznych żywiołów dostępu do parlamentu drogą obsyłania parlamentu przez Sejmy. Mówiąc o kompetencji sejmów, hr. Dzieduszycki obraca się tylko w sferze ogólników.

Wypracowywując program ekonomicznego podźwignięcia kraju, p. St. Szczepanowski, zwrócił uwagę na szczupły zakres kompetencji finansowej sejmu.

Pozatem nie widzimy dążności autonomicznych w Galicji. Na propozycje lewicy niemieckiej lub na domagania się narodowości niemieckich wyodrębnienia Galicji prasa galicyjska zwykle odpowiadała oburzeniem.

Najpopularniejszym argumentem, powtarzanym zawsze w danej kwestji tak przez gadzinowców jak i najradykalniejszych naszych postępowców, było twierdzenie: „Nie chcemy rzucić Słowian pod nogi Niemców i nie damy Czechów na pastwę Niemcom“! Ale Czesi domagają się prawa państwowego Czech, tj. wyodrębnienia tego kraju, bynajmniej nie dbając o to, co wówczas stanie się z Galicją.

Wyodrębnienie Czech, poprzedzające wyodrębnienie Galicji, dałoby bezwzględną większość Niemcom w parlamencie, zmienił by się w Austrji stosunek ról na naszą niekorzyść i dla Galicji mogłaby się znowu wrócić doba germanizacyjna. Rozpoczęłoby się od urzeczywistnienia domagań pp. Taniaczkiewiczów, Okuniewskich i Jarosiewiczów zaprowadzenia niemczyzny we wschodniej Galicji; mało spolonizowane żydowstwo galicyjskie zaczęłoby się rychło germanizować, tak we wschodniej, jak i zachodniej Galicji; germanizacja rządowa mogłaby znów rozpanoszyć się w kraju. Byłaby ona dla Galicji niebezpieczną, bo Galicja posiada mało wewnętrznych sił odporności na wynaradawianie, mniej niż inne nasze prowincje. Wynarodawianie nie osiągłoby swych celów, ale powstrzymać by musiało nasz rozwój kulturalny, zwłaszcza rozwój niższych warstw naszego społeczeństwa.

Prawda, koncesje narodowe otrzymała Galicja w znacznej mierze z powodu niebezpieczeństwa zagrażającego Austrji ze strony Rosji i olbrzymiego znaczenia żywiołu polskiego pod względem militarnym w razie starcia Austrji z Rosją. Ale pamiętajmy, że wyodrębnienie Czech, dające temu krajowi większy wpływ na politykę zewnętrzną Austrji, zbliżyłoby to państwo do Rosji, wobec czego na pewien czas Austrja mogłaby się nie rachować z polskim żywiołem i dla zaspokojenia swych szowinistycznych żywiołów mogłaby im wydać Galicję na żarcie.

Lecz może wyodrębnienie Czech jest utopją? Czemś nieziszczalnem? Kwestja ta nie da się w bliższej przyszłości rozstrzygnąć na drodze parlamentarnej, ale ileż to ważnych przeobrażeń odbyło się nie na tej drodze. Czesi mogą rozwinąć dużo oporu czynnego i biernego i zmusić rząd do ustępstw, grożąc mu swem moskalofilstwem. Częściowe wyodrębnienie Czech, odpowiadające mniej więcej rezolucji galicyjskiej z r. 1868, zostało już przyznane w 1870 przez rząd i rozbiło się tylko przez Niemców czeskich w r. 1871. Przyrzeczenia w kwestji swego prawa państwowego otrzymywali Czesi i później. Rozporządzenie językowe dla Czech i Moraw było zadatkiem na rzecz prawa państwowego Czech.

Wyodrębnienie Galicji, poprzedzające wyodrębnienie Czech, zwiększyłoby akcję w Czechach za wyodrębnieniem, rozdrażniając Czechów zwiększoną na razie przewagą Niemców. Na akcji tej moglibyśmy skorzystać i przyłączyć do wyodrębnionej Galicji ks. Cieszyńskie, jeżelibyśmy przy wyodrębnieniu nie otrzymali tego kraju.

W Austrji, nękanej walkami narodowościowemi, w Austrji, w której przeobrażenia państwowe tak postępowej, jak reakcyjnej natury były wynikiem tych walk, wzmagają się obecnie dwa prądy: jeden dąży do wyodrębnienia Czech — to prąd czeski, drugi do wyodrębnienia Galicji — prąd niemiecki. Wyodrębnienie możemy osiągnąć tak przez jeden, jak i drugi. Trzeba tylko odpowiednio wyzyskiwać sytuację.

Wład. Studnicki.

36)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Jak proste jest i pierwotne obejście się Jakutów z reniferami, tak też są proste: ich uprząż i narty *), te ostatnie są to małe, lekkie i wązkie saneczki bez dyszla i „hołobel“, obsadzone na płozach szerokich, wyrabianych z bardzo twardego drzewa brzóz kamiennych, czyli daurskich (Betula dahurica), rosnących daleko na południu; za płozy płacą drogo, bo aż 3 albo 4 skórki piesców białych. Na nartach jakuckich pomieścić się może zaledwie jeden człowiek, siedzący z wyciągniętemi przed siebie nogami, jedynem zaś udogodnieniem dla podróżujących jest bardzo słabo urządzone oparcie z tyłu nart, albo para rzemieni, którymi uwiązują do sanek okrycia na nogi. Dla chorych i niedołężnych urządzają niekiedy budkę, osłaniającą tył nart, a wtedy sanie takie nazywają „powozką“.

Jazda na nartach tubylczych, ciągnionych po powierzchni nierównej, wyboistej, po grzbietach i krawędziach fal śnieżnych jest bardzo męcząca. Podróżujący bywa ciągle zmuszony do utrzymywania równowagi na siedzeniu, wielce niepewnem, ale zarazem jest on krępowany w swych czynnościach ekwilibrycznych pozycją mumji, jaką zajmuje na sankach, będąc spowity w futra i odziany workiem podróżnym.

Cała uprząż renifera składa się ze szleji rzemiennej, mającej tylko jeden pas pociągowy. Szleja jest zapinana, albowiem na szyję przez rozłożyste rogi nie daje się tak wdziewać, jak zwykłe szleje końskie. Pas przytwierdza się za pomocą pętli do poprzeczki, wiążącej z przodu płozy nart. Szleję nadziewają skośnie, a pas leży po jednej stronie renifera, ciągnie on więc cały ciężar jednym bokiem swoich piersi. Sposób taki zaprzęgania męczy niezmiernie, nawet silne zwierzęta pociągowe, a tembardziej słabego renifera, ustaje on też bardzo prędko. Zmęczony, wywiesza język, jak to czynić zwykł pies zjajany i oddycha szybko, wydając rzężenie nieprzyjemne.

Zapobiegając złym skutkom, wywoływanym przez uprząż niestosowną i niedogodną **), przewodnicy zmieniają często położenie szleji i pasa, przekładając je to na prawo, to na lewo, albo nawet puszczając pas pomiędzy nogi renifera; ale w tym ostatnim wypadku utrudniony bywa chód zwierzęcia. Pomimo możebnie najgładszego wyrobu rzemienia na szleje i pasy, i pomimo najpilniejszego dozoru nad uprzężą, której nigdy nie pozostawiają na mrozie, lecz wnoszą ją do namiotu i trzymają w cieple, chroniąc najstaranniej przed wilgocią, jednak zatarcie szyji i piersi i obtarcie boków i nóg u reniferów pociągowych zdarzają się nie rzadko; dla uniknięcia podobnych wypadków, często w drodze zmieniane bywa położenie szleji i pasa.

Tundra wschodnio-syberyjska, na przestrzeni przez nas zwiedzanej, pomiędzy Leną i Olenekiem ma zupełnie inny charakter, niż tundra zachodniej Syberji. Ta jest sucha, wyniosła, skalista, przerzynana po brzegach dolinkami i dolinami, najczęściej malowniczemi, mającemi florę i faunę urozmaiconą, tamta zaś tundra zachodnia jest mokra, błotnista, trudna do przebycia latem. W zimie atoli obie tundry mają cechy jednakie, obie są pokryte grubą warstwą śniegu i robią wrażenie pustyni martwej, zawsze groźnej i złowrogiej dla człowieka. Powłoka śnieżna nie jest równa i gładka, jak powierzchnia śniegu na naszych polach i łąkach, przeciwnie, jest ona głęboko zorana podmuchami wiatrów i wygląda jak wzburzone i raptownie zamarzłe morze. Jamy, wyboje, krawędzie i grzbiety fal śnieżnych utrudniają jazdę. Wiatry, wiejące tu bezustannie, ubijają warstwy śniegu w tak twardą skorupę, że przebić ją nie łatwo, po niej człowiek, narty i renifery przechodzą prawie bez śladu, przytem śnieżna powłoka cała jest ułożona w faliste przeguby, podobne do ruchomej powierzchni morza; krawędzie tych fal śnieżnych i ich grzbiety nazywają „zastrugami“. Według kierunku linij obrzeżających je, można się niekiedy orjentować wśród pustyni śnieżnej, ale trzeba przytem znać kierunek głównych wiatrów, panujących w danej porze roku. I tak

*) Miejscowa ludność nazywa sanie nartami a nie nartą.

**) Pytanie, czyby się nie dała obmyśleć jaka dogodniejsza uprząż na renifery, a jednocześnie także i na psy pociągowe, dla których mają Jakuci podobneż szleje jednopasowe („ałyki“), nie może być rozstrzygnięte teoretycznie. Zastąpienie szleji chomątem i używanie dwóch pasów, zamiast jednego, okazały się w praktyce niewykonalnemi. Jak w dżdżystych okolicach krajów Europy środkowej jarzmo na woły z kabłąkami drewnianymi nie mogą być zamienione na chomąta, tak też i szleje reniferowe nie mogą ustąpić przed uprzężą europejską, jakkolwiek ta ostatnia zdaje się na pozór być wielce dogodną i praktyczną.

w perjodzie naszej wędrówki mieliśmy przeważnie wiatry południowe, brzegi więc fal zwrócone były na północ, i w tym kierunku leżały także i grzbiety fal śnieżnych.

Nawet w dzień najcichszej pogody, powiew wiatru jest stały na tundrze; nad jej powierzchnią unosi się wtedy ciągły dymek śnieżny, jak obłoczek pary nad kipiącą wodą, płynie on lub toczy się w kierunku podmuchu wiatru, uwidoczniając się najbardziej u krawędzi fal; powierzchnia więc tundry jest w ciągłym ruchu, a jakkolwiek ruch ten jest prawie niewidzialny, lecz niemniej bezustannie zmienia on kontury wszystkich części powłoki tundry.

Gdy siła wiatru się zwiększa, wtedy obłoczek śnieżny wznosi się coraz wyżej, rozszerza się coraz bardziej i zamienia się w obłok gęsty, pędzący po nad powierzchnią tundry; zasypuje on wtedy oczy jadącym tak, że nic dokoła widzieć nie można. Ale pomimo wiatru, niekiedy dosyć silnego, pomimo śnieżnego obłoku, podróż jest możebną jeszcze, bo zmysł orjentacyjny przewodników potrafi kierować się i wśród zawieji. Dopiero gdy buruny roztoczą swoje panowanie nad tundrą, możność podróży ustaje, renifery wypowiadają posłuszeństwo, zwracają się tyłem do wiatru, zbijają się w kupę, a ludzie podróżni, zaskoczeni znienacka, tulą się do siebie, okrywają futrami i z cierpliwością bohaterską czekają końca huraganu śnieżystego.

Podczas naszej podróży z Bor-Syru nie było burunów, nie nawiedziły one ani razu tundry w tę porę, a jakkolwiek wiatry panowały częste, i miewaliśmy zawieje śnieżne, lecz one nie miały charakteru burunów, były bez wichrowatych podmuchów, stanowiących znamienną cechę dla burzy północnej.

W tym przejeździe nie zbłądziliśmy także ani razu; przebyliśmy więc szczęśliwie ową drogę tak niebezpieczną i stanęliśmy w Bułuniu 20. września, przeszedłszy po zamarzłej już powierzchni rzeki Ajakit'u.

Gdyśmy przybyli do miejsca, zkąd przed dwoma niespełna miesiącami wyruszyliśmy w podróż lądową na Olenek, zima już była na dobre, objęła panowanie nad całym obszarem północy, atoli nie mogła jeszcze pokonać potężnej Leny. Byliśmy więc zmuszeni czekać, aż rzeka stanie, bo przez nią wiodła nasza droga powrotna na wschód, ku dolinie rzeki Jany. Następnie wyczekiwać musieliśmy także chwili, kiedy nieliczni mieszkańcy miejscowi wyrąbać zdołają przejazd po rzece, wśród olbrzymiego zatoru, zwanego „torosem", jaki się tworzy tutaj co roku w czasie zamarzania Leny, wzdłuż całej tej przestrzeni, gdzie ona jest ujęta w skaliste wybrzeża.

Lena, jak wogóle wszystkie rzeki Syberji północnej, pokrywa się lodem, poczynając od ujścia. Zamarzanie rzek postępuje tutaj stopniowo od północy ku południu i odbywa się szeregiem kolejnych zatorów i wylewów. W miejscach, gdzie brzegi są płaskie, wylewy bywają ogromne, zatory zaś małe, a przedewszystkiem nie wysokie, natomiast tam, gdzie brzegi są skaliste i wyniosłe, wylewy nie mają wcale miejsca, lecz zatory piętrzą się tutaj i dochodzą do rozmiarów kolosalnych; bryły lodu, spojone ze sobą w najbardziej fantastyczny sposób, zalegają całą powierzchnię rzeki, wznosząc się daleko po nad jej zwykłe poziomy. Komunikacja wszelka pomiędzy brzegami przeciwległymi ustaje zupełnie, a stan taki trwa aż do czasu, gdy pracą zbiorową wszystkich mieszkańców sąsiednich osad, uda się nareszcie wyrąbać przejazd przez rzekę. Praca nad oczyszczeniem drogi jest wielce uciążliwą dla nielicznych tubylców; pragnąc ją choć w części umniejszyć, wyszukują oni przestrzeń, gdzie zatory są słabiej rozwinięte; tak n. p. w roku 1875 znaleziono najodpowiedniejsze miejsce dla przeprowadzenia drogi, dopiero aż w pobliżu osady Sitkiach, położonej daleko od Bułunia, w górę po rzece Lenie.

Zajęcia nasze podczas przymusowego wyczekiwania ograniczyć się musiały do obserwacji meteorologicznych i notatek etnograficznych, mieliśmy więc dosyć czasu na przepakowanie i ułożenie zbiorów, odpowiednio do możliwych i przewidywanych warunków podróży naszej do Jakucka.

W pierwszych dniach października wyruszył Czekanowski jeszcze raz na zachód w celu zasięgnięcia od mieszkańców tamtejszych pewniejszych wiadomości, dotyczących drogi na doliny rzek: Chatangi, Anabaru i Pjasyny; projektował on bowiem urządzić już w roku 1876 nową wyprawę na północ, ażeby módz zakończyć swoje badania dotychczasowe i powiązać w całość organiczną luźne i rozstrzelone dotąd rezultaty poszukiwań Łopatina na Jeniesieju, Schmidta na Amurze i w Daurji i swoje własne, uskutecznione po dolinach rzek: Angary, Tunguzki, Leny, Jany i Oleneka.

W czasie nieobecności Czekanowskiego, życie nasze w jurcie jakuckiej, ciemnej i dymnej wlokło się leniwie i smutnie, jedynem jego urozmaiceniem i uprzyjemnieniem zarazem było zjawisko zorzy północnej, świecącej co wieczór między godzinami 8-mą i 9-tą od 1. do 13. października. Blask jej niezwykły na ciemnem niebie północnem, gra mieniących się promieni barw delikatnych, załamywanych w bryłach lodu i w drobnych kryształach szronu, zdobiącego powierzchnie wszystkich przedmiotów w pejzażu zimowym, wywoływały efekty przecudne. Pomimo jednak całego uroku krajobrazu, opromienionego zorzą północną, wieje od niego chłodem polarnym, to

też chętniebyśmy zamienili to świetlne widowisko, trwające niekiedy całe godziny, na jedną chwilę ciepłego, wesołego uśmiechu zachodzącego słońca wśród pejzażu wiejskiego pól naszych rodzinnych.

Po powrocie Czekanowskiego z wycieczki na zachód, naznaczyliśmy termin wyjazdu, a 16. października wyruszyliśmy w drogę przez Wierchojańsk do Jakucka. Droga ta jest jedyną, po której odbywano dotąd i odbywać będą jeszcze przez długie lata podróże na północ, biorąc za punkt wyjścia Syberję wschodnią, ale nie jest ona drogą w tem znaczeniu, jakie się nadaje zwykle gościńcom i traktom w krajach cywilizowanych: na tym szlaku, od Jakucka do Bułunia, schroniska tylko, czyli „powarnie“ albo jurty, przeznaczone na wypoczynek podróżnych, są dziełem rąk ludzkich, resztę na tej drodze całej tworzy i urządza natura sama. Inżynierem budowniczym tutaj była, jest i będzie zima, ona zasypuje obfitym szutrem śnieżnym wszystkie nierówności, niepodobne do przebycia latem, ściele groble przez moczary i błota, stawia lodowe mosty na rzekach, łagodzi strome spady po górach i skałach: jednem słowem, buduje drogę na cały czas od października do czerwca i oddaje ją do użytku podróżnym, którzy tylko w czasie wyżej wskazanym mogą dotrzeć drogą lądową na północ daleką, tak n. p. do Wierchojańska, Niżnie Kołomska i t. d.

Schroniska dla podróżnych zbudowane są wzdłuż drogi. Odległość pomiędzy niemi nie jest wszędzie jednaką, wynosi ona od 4 do 6 „kessow“, według miary drogowej Jakutów, czyli od 60 do 90 wiorst; taką przestrzeń przejeżdża się na reniferach w ciągu 8 do 10 godzin, a resztę doby przepędzają podróżni w schroniskach, czekając, zanim się nakarmią i zanim wypoczną renifery pociągowe, albo konie wierzchowe, (te ostatnie jednak używane są tylko w południowych częściach drogi rzeczonej).

„Powarnie“ wszystkie są według jednego typu zbudowane, każda z nich jestto duża jurta, zwykle bez okien, z szerokiemi oddrzwiami, ale najczęściej bez drzwi przy nich. Po środku jurty urządzone jest palenisko, a nad niem wielki otwór w pułapie dla dymu. Dokoła ścian mieszczą się dosyć szerokie „nary“ czyli ławy, zbudowane z łupanych kłód, z gruba tylko toporem obciosanych, co sprawia, że nie zbyt wygodne ma się na nich pomieszczenie dla snu i wypoczynku. Jako uzupełnienie do krótkiej charakterystyki poczekalni jakuckich możnaby dodać jeszeze kilka następujących szczegółów, a mianowicie, że ściany ich są najczęściej ażurowe, więc przeświecają na wylot, że są poczerniałe od dymu, pokryte lodem lub sączącą się z niego wodą, że następnie po każdej zawieji i śnieżycy wnętrze jurty jest zawalone śniegiem, który uprzątać muszą podróżni, chcąc się dostać do nar i do paleniska.

Przejezdni, gdy goszczą w schronisku, podtrzymują ciągły ogień i to obfity, drzewa nie żałując wcale, zwykle więc bucha tu płomień ogromny, a blask jego świeci łuną nad pułapem i kłębami dymu, przedostaje się przez szpary w ścianach i oświetla je na zewnątrz tak, że jurta wygląda z daleka na nią patrząc, jak latarnia. Człowiek, siedzący na narach przed ogniskiem, ma ciepła za wiele dla twarzy swojej i zbyt wiele światła dla oczu, gdy przeciwnie strona jego ciała zwrócona do ściany, od której wieje porządnie, marznie najformalniej, obok tego dym nie wszystek ulata przez otwór w pułapie, lecz ściele się u sufitu, pełza po ścianach, zstępuje niżej i łzy wyciska z oczu u ludzi, którzy do niego nie przywykli, lub przywyknąć nie mogą. Chcąc ochronić oczy od blasku światła, od gorąca i dymu, a całe ciało od zbyt silnych kontrastów w temperaturze otoczenia, podróżnik nie ma innej rady, jak szukać wyzwolenia od cierpień swoich w worku sypialnym, który sobie rozściela na nierównych i w garby obfitych narach: jestto jedyny sposób, w jaki można uniknąć niedogodności i męczarni wyżej wspomnianych, lecz za to trzeba pozostawać 14 do 16 godzin z rzędu w pozycji leżącej, spoczywając z zamkniętemi oczami, przysłonionemi nadto daszkiem futrzanym od czapki. Szczęśliwym nazwać się może ten, kto zdoła wobec warunków rzeczonych sen przywołać na swoje usługi, atoli rzadko się to udaje, częściej daleko leżeć musi podróżny w swym worku sypialnym, trapiony bezsennością męczącą, albo pogrążony w poddrzemce chorobliwej, nawiedzanej zwykle wizjami fantastycznemi, albo rojeniami trwożnemi. Takimi to są warunki, wśród których żyć jest zmuszony wędrownik podczas pobytu swego w schroniskach. Ale nie lepszą jest też dola jego i wtedy, gdy jedzie na nartach, już samo ubranie podróżne, składające się oprócz bielizny flanelowej, z trzech warstw odzieży futrzanej *), czyni człowieka

---

*) Podróżni, w nowszych czasach wybierający się w krainy polarne, mają różne gatunki ubrania, chroniące od zimna. Na Syberji wyboru nie ma, trzeba się tak odziewać, jak się odziewa ludność miejscowa. Strój dla podróżników, odbywających drogę na nartach, składa się mniej więcej z następujących ubrań futrzanych i innych części dodatkowych:

1) Ubrania spodnie z futra piescowego, noszone sierścią do ciała.

a) Ketenczy, pończochy długie, sięgające po za kolana;

b) Syali, spodnie krótkie;

c) Son, koszula futrzana.

2) Ubranie wierzchnie ze skór reniferowych, noszone szerścią na zewnątrz.

a) Kamius czyli kamasy, buty długie, uszyte z „łapek“ reniferowych, czyli ze skórek, zdjętych z nóg reniferów;

niezdolnym do wykonywania jakichkolwiekbądź ruchów dowolnych, a gdy do tego dodamy konieczne obwinięcie nog w worek podróżny i przymusową pozycję na wpół leżącą, jaką zachowywać trzeba w czasie całej drogi, to łatwo zrozumieć już będzie można, że tortury w schronisku, na narach znoszone, dorównywują torturom, cierpianym na nartach. W czasie, gdy temperatura powietrza wynosi około 25°R. i gdy oczy podróżnika nie są jeszcze zaczerwione od dymu, może on wtedy podczas jazdy cieszyć się wrażeniami wzrokowemi, patrząc na okolice, pogrążone w półmrokach nocy, trwającej 20 godzin na dobę, ale gdy mrozy dochodzą do 40° R., gdy rzęsy zmarzają, a łza padająca z oka zamienia się natychmiast w perłę lodową, gdy bez maski, ochraniającej usta, oddychać nie można, ani patrzeć bez okularów siatkowych, gdy nadto oczy są zbolałe, nos obrzękły, policzki pozbawione naskórka, usta popękane — wtedy braknie już chęci, a i możności nawet do obserwacji; podróżny zarzuca kapiszon z futra na czapę futrzaną, zaciska daszek głęboko na oczy, zamyka je, tonie głową w kołnierzach futrzanych i siedzi osowiały, nudny i obojętny na wszystko, co się dzieje dokoła niego.

---

b) Spodnie krótkie, z takichże „łapek“ reniferowych uszyte;

c) Kamleja, rodzaj koszuli wierzchniej, futrzanej, bez rozporka na przodzie, wdziewana przez głowę. Przy niej jest zwykle kapiszon;

d) Sangyjach, płaszcz długi z rękawami, noszony zwykle po wierzchu innego odzienia. Po rosyjsku „docha“ albo „dacha“.

3) Okrycie na głowę i twarz.

a) Bergiasia, czapka futrzana z klapami na kark i uszy;

b) Opaski na nos i czoło;

c) Siatki na oczy.

Z pism i książek.

E. Demolins. Nowe wychowanie, przełożył S. Wł. Dawid. Warszawa 1900. Dzieło powyższe w ciągu kilku lat rozeszło się we Francji w kilku wydaniach i przetłomaczonem zostało na wszystkie języki europejskie, wnosząc szereg nowych idei, opartych na rozpoznaniu doniosłości systemu pedagogicznego, jako podstawy całej organizacji społeczeństw.

System wechowania młodzieży zarówno w rodzinie jak i szkole, jest jednym z czynników, które wywierają bezpośredni wpływ na ukształtowanie się stosunków społecznych, na znaczenie i bogactwo narodu, na stopień jego cywilizacji. Zakorzeniony system wychowania jest siłą potężną, działanie której znać na całej duchowej fizjonomji danej epoki i danego narodu. Różnice organizacji społecznej i wyników pracy społecznej, zachodzące pomiędzy rozmaitymi narodami, dadzą się prawie zawsze wytłomaczyć przez różnice w przyjętym systemie wychowawczym tych narodów, — a przynajmniej w większej części. — Wyniki społeczne tych odmiennych systemów wychowania są bardzo znamienne. Społeczeństwa i narody, u których — jak n. p. u Anglików — przeważa system wychowania racjonalnego, dążącego do tego, aby dzieci bez stróżów i opiekunów potrafiły kierować sobą w pracy, — takie społeczeństwa odznaczają się większym zasobem ludzi o wybitnej samodzielności charakteru i o inicjatywie w handlu, w przemyśle, w polityce. Narody zaś, które w wychowaniu młodego pokolenia nie trzymają się systemu wyrabiania samodzielności od dziecka, cierpią na brak ludzi, znajdujących w samych sobie siłę do pracy i kierunek czynu. Takie społeczeństwa, — należy do nich n. p. niemieckie, — mają dużo ludzi pracowitych, porządnych, systematycznych i pilnych, ale ludzi, którzy nie mają własnej inicjatywy, którym brak szybkiej decyzji, energji w przeprowadzeniu planu — jednem słowem ludzi, którymi trzeba komenderować. Jest to bardzo naturalne, powiada Demolins. Przeciętny Niemiec, zanim dojdzie do stanowiska, składa szereg egzaminów, uczy się zawsze tylko dla nauczyciela, na stopień, a po wyjściu ze szkoły, gdzie go stróżowało oko władzy szkolnej, wchodzi pod komendę zwierzchników, jest zawsze tylko narzędziem, wykonywającem rozkaz z góry, ma tylko jedno życzenie — aby dopasować się do życzeń władzy wyższej; przebywa wreszcie wojsko, gdzie do reszty staje się człowiekiem myślącym i działającym mechanicznie, na rozkaz, jak manekin, który się może poruszać, ale potrzebuje zawsze ręki, któraby nacisnęła w danej chwili odpowiednią sprężynę. Nabyta w ten sposób druga natura nie opuszcza go już przez całe życie. Woli on iść wydeptanym szlakiem, niż szukać dróg nowych, woli słuchać rozkazów, niż postępować podług swego zdania.

W przedmowie do drugiego wydania swego dzieła Demolins, zastanawiając się nad przyczynami wyższości rasy anglo-saksońskiej nad innemi, upatruje przyczyny te w wychowaniu i rzuca nader trafną uwagę, że w Niemczech handel i przemysł, zanim zdobył warunki bytu, uciec się musiał do tworzenia stowarzyszeń, spółek i związków, pomimo iż szedł już wydeptanym przez Anglików szlakiem. Anglicy zaś zawdzięczają swą wielką rolę w przemyśle i handlu jedynie samodzielności charakteru, rzutkości jednostek, nie oglądających się na żadne zapory, nie szukających z zewnątrz żadnej pomocy. Tem objaśnia Demolins wielkie podboje Anglików i olbrzymie rezultaty ich przemysłu — a to wszystko da się ostatecznie sprowadzić do jednej zasadniczej przyczyny: do wychowania skierowanego ku wytworzeniu ludzi nie uczonych, lecz samodzielnych i ufnych tylko we własną siłę, nie cofających się przed niebezpieczeństwem, upartych i twardych w dążeniu do raz zamierzonego celu.

Książka Demolin'a — to interesująca próba wytłomaczenia wielu niezbadanych dotychczas objawów kultury zapomocą nowego klucza — kwestji wychowania. Zawiera ona bardzo wiele materjału ideowego, nastręcza bardzo wiele myśli nowych, kształci i poucza, a obok tego wskazuje praktyczne drogi, jakich wychowanie młodzieży trzymać się powinno, aby stać się prawdziwą podstawą dobrobytu społecznego.

Dr. R.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.